247.

PRZEWODNIK MIŁOSIERDZIA

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU TOW. DOBROCZYNNOŚCI „CARITAS" I RAD WYZSZYCH KONFERENCYJ ŚW. WINCENTEGO à PAULO MĘSK. I ŻEŃSK.

REDAKTOR: SEKRETARZ JENERALNY ZWIĄZKU, X. WALENTY DYMEK.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
POZNAŃ, ALEJE MARCINKOWSKIEGO, 22 II - TELEFON 1989 - P. K. O. 206143

Warunki przedpłaty:
Członkowie Związku Towarzystw Dobroczynności „Caritas" otrzymują organ Związku bezpłatnie. — Przedpłata dla niećzłonków wynosi 8 zł rocznie, płatnych w ratach kwartalnych.

Nr. 8. | POZNAŃ, SIERPIEŃ 1926. | ROCZNIK V.

Kurs dla wychowawczyń i wychowawców zakładów zamkniętych.

Opieka nad dzieckiem należy do najprzedniejszych zadań pracy charytatywnej. Nie może jej zatem pominąć Związek Towarzystw Dobroczynności „Caritas".

Z pośród licznych zagadnień opieki nad dzieckiem pragnie Związek w najbliższym czasie poświęcić większą uwagę sprawie zakładów zamkniętych. Wychowują się w nich bądźto sieroty, których liczba wskutek wojny urosła do niebywałych rozmiarów, bądźto młodzież, która, nie doznawszy należytej opieki w domu rodzicielskim, stała się zaniedbaną, a często nawet przestępczą.

Ponieważ jest po myśli Kościoła i państwa, aby jednostki te wyrosły na pożytecznych obywateli, przeto pragniemy, aby zakłady opieki zamkniętej stanęły na wysokim poziomie pod względem wychowania i zdrowotności.

Chcąc wychowawczyniom i wychowawcom tychże zakładów dać możność pogłębienia ich wiedzy, Związek Towarzystw Dobroczynności „Caritas" przystępuje do urządzenia 2 miesięcznego kursu. Całość kursu podzielona jest na miesięczny kurs wstępny, na samodzielną dalszą naukę na własnej placówce w ciągu roku i na miesięczny kurs końcowy.

Na kursie wstępnym rozwinie się bardziej kwestje organizacji zakładów, higjeny i pedagogiki.

W ciągu roku kursiści opracują 2 prace piśmienne, jedno streszczenie książki lub artykułu z pedagogji i jedną pracę

na temat obrany na podstawie doświadczenia na własnej placówce.

Na kursie końcowym omawiać się będzie kwestję psychologji dziecka w różnych okresach rozwoju i psychologję dziecka anormalnego i przestępczego.

Poza wykładami odbędzie się na kursach szereg wizyt zakładów wychowawczych oraz zajęcia praktyczne.

Po kursie końcowym odbędzie się egzamin, na podstawie którego słuchacze otrzymają państwowe dyplomy na wychowawców internatowych, o co Związek zwrócił się do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

Program kursu wstępnego.

1. Ogólne wiadomości z zakresu opieki społecznej.
2. Historja wychowania gromadnego.
3. Ogólne zasady higjeny i wychowania fizycznego.
4. Fizjologja i psychologja dziecka.
5. Patologja umysłowości dziecięcej.
6. Dziecko przestępcze.
7. Organizacja wychowania dzieci opuszczonych i sierot.
8. Organizacja życia zakładowego.
9. Stosunek zakładów do młodzieży, która opuściła zakład.
10. Prawa dziecka jako jednostki.
11. Życie religijne w życiu zakładowem.
12. Zajęcia i rozrywki pozaszkolne.
13. Aktualne zagadnienia pracy charytatywnej.

Jako prelegenci przewidziani są: Dyr. Babicki (Warszawa), X. Kan. Dymek (Poznań), X. Dr. Harazim (Aleksandrów), Prof. Dr. Jonscher (Poznań), Kuhn, kierownik szkoły specjalnej (Poznań), Matka Ledóchowska (Pniewy), Prof. Dr. A. Mogilnicki, prezes Sądu Najwyższego (Warszawa), Wanda Szuman (Toruń), Dr. Stefan Szuman (Poznań), p. Tucholska (Poznań), naczelnik Wilczyński (Poznań).

Warunki przyjęcia.

1. Kurs rozpoczyna się dnia 21-go września 1926 r., punktualnie o godzinie 4-tej po południu na sali wykładowej Szkoły Społecznej w Poznaniu, ul. Podgórna 12b, II ptr. Kurs trwać będzie do 15-go października włącznie.

2. Przed rozpoczęciem kursu uczestnik nadeśle curriculum vitae, w którem uwzględnić należy wykształcenie oraz praktykę w wychowywaniu młodzieży w zakładach zamkniętych.

3. Uczestnicy kursu winni się poddać regulaminowi, winni uczestniczyć we wszystkich obowiązkowych prelekcjach i ćwiczeniach i stosować się do zarządzeń dyrekcji Szkoły Społecznej.

4. Ponieważ do wykładanych przedmiotów podręczników przeważnie niema, przeto kursiści powinni czynić sobie notatki, najlepiej w specjalnie na ten cel przeznaczonym obszerniejszym zeszycie.

5. Uczestnicy kursu powinni mieć pewne minimalne wykształcenie naukowe, jak liceum lub seminarjum nauczycielskie, ochroniarskie i t. d. W wyjątkowych wypadkach może je zastąpić dłuższa praktyka wychowawcza w zakładach zamkniętych.

6. Wpisowe wynosi dla wychowawczyń i wychowawców zakładów, współpracujących z Związkiem Towarzystw Dobroczynności „Caritas" 25,— zł., dla wszystkich innych kursistów 50, — zł. Wpisowe wpłaca się przed rozpoczęciem kursu; wpłaconego wpisowego nie zwraca się. W razie niemożności opłaty należy się zwrócić do Związku z wnioskiem o obniżenie wpisowego. Kursiści starają się sami o mieszkanie i utrzymanie, przyczem jednak Związek służy pośrednictwem.

7. Zgłoszenia należy przesyłać pod adresem: Związek Towarzystw Dobroczynności „Caritas", Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22, **najpóźniej do dnia 10-go września rb.**

Wywiadownia naszego Związku.

Obecne położenie gospodarcze wytworzyło tak wielki zastęp ludzi żyjących w nędzy i niedostatku, że mimo największe wysiłki nie można stanu tego zmienić i naprawić. Wysilają się władze, tworzą coraz to nowe urzędy z dziedziny opieki społecznej, pracuje intensywnie dobroczynność prywatna, lecz liczba osób pogrążonych w nędzy się nie zmniejsza. Sprawa przedstawia się zresztą z dnia na dzień gorzej, gdyż ludzi zamożnych jest coraz mniej tak, że dobroczynność prywatna nie jest zdolna spełnić poważniejszych dzieł. To też nic dziwnego, że rosną szeregi osób żebrzących, szukających tą drogą środków do utrzymania. Żebranie to dokonuje się częściowo przez odwiedzanie domów, częściowo przez wysyłanie listów żebraczych.

Należy sobie jednak uprzytomnić, że nie wszystkie osoby żebrzące są do tego uprawnione, t. j. że nie wszystkie znajdują się w ciężkiem położeniu materjalnem. Wytworzył

się raczej jakoby nowy zawód, zawód żebraków bardzo niegodziwych i wyrafinowanych. Umieją tak doskonale, zwłaszcza w listach, przedstawiać swoje położenie, różne nieszczęścia, które ich rzekomo spotkały, że nawet człowiek mniej litościwy pozwoli się ubłagać i wysyła, nie badając stosunków, nieraz poważniejsze wsparcie. Na pewnem zebraniu usłyszałem następujące opowiadanie: Pewien zamożniejszy pan w Księstwie otrzymywał stałe listy żebrzące od pewnej rodziny z Poznania. Rodzina ta stała się niejako jego klijentem, gdyż w pewnych regularnych odstępach wysyłała listy, na skutek których stale otrzymywała pomoc pieniężną. Pewnego dnia ów pan, przybywając do Poznania, postanowił odwiedzić ową rodzinę, chcąc naocznie przekonać się o jej nędzy i w danym razie wspomóc poważniejszym datkiem. Wchodzi więc do mieszkania, zastaje wspaniale urządzone pokoje, mieszkańców dobrze ubranych, pyta się o nazwisko rodziny i dowiaduje się, że to jest ta sama, którą tak hojnie wspierał. Przekonał się więc, że padł ofiarą najgorszego wyzysku.

Należy więc sobie uświadomić, że nasze miłosierdzie musi się stać mądrem i ekonomicznem, inaczej bowiem przez datki niemądre popieramy zło. Jest wielka ilość osób w Polsce, które zatraciły wstyd i chęć do pracy. Wytworzyło się pewnego rodzaju usposobienie żebracze, które może społeczeństwu wyrządzić niesłychane szkody. Skoro bowiem znaczna część społeczeństwa straci miłość do pracy, wówczas przyszłe nasze dzieje musiałyby się przedstawiać aż nadto ponuro. Usposobienie to popiera się przy udzielaniu wsparć w niewłaściwy sposób. Lecz krzywdę wyrządza się także danej jednostce, gdyż zachęca się ją do lenistwa i marnotrawstwa, krzywdzi się społeczeństwo, pozbawiając je osób do pracy; wreszcie krzywdzi się osoby prawdziwie potrzebujące. Skoro się bowiem ktoś sparzy w jednym lub drugim wypadku, z niechęcią tylko będzie w przyszłości udzielał wsparć i pomocy.

Z powyższego niema wynikać, jakobyśmy chcieli zwalczać prawdziwe miłosierdzie. Byłoby to sprzeniewierzeniem się naszej idei i naszym zadaniom, boć powołani jesteśmy do czynienia dobrze, a nie do ubijania miłosierdzia. Zresztą mimo wszystkie nadużycia należy stwierdzić, że ilość osób potrzebujących jest ogromna.

Aby znaleźć właściwą drogę, chcemy społeczeństwu przyjść z pomocą. W tym celu jesteśmy gotowi badać wszystkie listy żebracze, jakie ktokolwiek otrzymuje. Odnosi się to narazie do miasta Poznania, gdzie stworzyliśmy własną placówkę pod nazwą Poznański Okręg „Caritas". Za jej pośrednictwem możemy podać informacje o każdym

petencie. Kto więc otrzyma list żebraczy, niechaj go odeśle do Związku Towarzystw Dobroczynności „Caritas“ z żądaniem wywiadu.

Gotowi jesteśmy sprawę tę jeszcze więcej ułatwiać, o ile poszczególni ofiarodawcy prześlą nam pewną kwotę pieniężną, którą zapiszemy na dobro ofiarodawcy. Z kwoty tej udzielalibyśmy wsparć petentom, o ileby się wykazało, że na to zasługują.

Sprawa w krótkim czasie mogłaby wydać duże owoce o ile będzie wielka ilość ofiarodawców, którzy posługiwać się będą naszą organizacją.

Szpital św. Józefa w Poznaniu.

(Dokończenie.)

W roku 1903 zakupiło Zgromadzenie SS. Miłosierdzia przylegający do realności grunt i domek ogrodowy. Dom urządzono na stację dla dzieci chorych na szkarlatynę, a grunt zamieniono na ogródek do użytku dziatwy z ochronki. Drogą tą uzyskano miejsce na 8—10 łóżeczek czyli, że zakład mógł już równocześnie leczyć około 60 dzieci.

Wszystko to jednak było niczem wobec stale się zwiększającej liczby dzieci, które nie zawsze było można uwzględnić. Nie tracąc więc ani na chwilę energji i ufności w pomoc Bożą, białe Siostrzyczki poczynają na serjo myśleć o budowie nowego obszernego szpitala i odpowiedniej renowacji, względnie przebudowy dawnego. Miejsce najodpowiedniejsze byłoby od strony ulicy, obok dawnego szpitala; jednakże tam stoi ochronka zakupiona jeszcze swego czasu przez S. Morawską. Wobec tego jednakże, że budynek ten nie odpowiada warunkom, Siostry decydują się go znieść i postawić nową ochronę w podwórzu, a na miejscu dawnej pobudować szpital, odpowiadający najnowszym wymaganiom higjeny i mogący pomieścić znaczną liczbę dzieci. Budowlę rozpoczęto od położenia fundamentów pod nową kaplicę po prawej stronie domu, aby usunąwszy starą kapliczkę z zakładu, zyskać odrazu na miejscu. W roku 1904 nowa kapliczka pod wezwaniem św. Józefa jest już gotowa, i od tej chwili płyną z niej codziennie przed tron Stwórcy korne modły SS. Miłosierdzia i pełne wdzięczności słowa tych, którzy pod opiekuńczemi skrzydłami św. Józefa znajdują ulgę w cierpieniu i pomoc w niedoli. Wiemy, że kaplicę św. Józefa odwiedzają również bardzo licznie wierni z miasta, że odbywają się tam nabożeństwa szkolne, żałobne,

uroczystości ślubne, pierwsze Komunje św. i inne uroczystości kościelne, czyli że kaplica ta drogą jest bardzo wielu mieszkańcom naszego miasta. Po wykończeniu kaplicy zabrano się do budowy nowej ochrony w podwórzu na ziemi, nabytej w r. 1903 od p. Anderscha. Wystawiono obszerny budynek-ochronę, do której uczęszcza dotąd stale przeszło 100 dzieci, poza tem urządzono w budynku internat dla niezamożnych panienek pracujących zarobkowo oraz przeniesiono z starego domu szwalnię.

Skoro się tylko Zarząd Zakładu św. Józefa z tą budową uporał, przedsiębiorcze i konsekwentne w działaniu, gdy chodzi o dobro publiczne, Siostrzyczki ,pukając ustawicznie do serc miłosiernych i ciał samorządowych, rozpoczynają kłaść fundamenta pod nowy lazaret. Plany kreśli arch. Roger Sławski, wykonuje je budowniczy Frankiewicz. I staje obok dawnego szpitalika piękny dwupiętrowy gmach w stylu gotyckim, którego poświęcenia dokonuje już w dniu 2 lipca 1907 roku ksiądz biskup Likowski. Parter nowego domu przeznaczono na biura, poliklinikę i aptekę zakładową. Całe pierwsze piętro zajmuje oddział chirurgiczny — zawierając obszerne sale wspólne na 8—10 łóżeczek, pokoje klasowe, salę operacyjną, ambulatorjum, łaźnie i ustępy. Na drugiem piętrze rozkład mniej więcej ten sam, jak na pierwszem, mieści się tam stacja wewnętrzna, oddział oczny i w skrzydle domu doskonale izolowany oddział dyfterytyczny. Na obu piętrach korytarze szerokie i widne, mogą na nich zażywać do woli ruchu mali rekonwalescenci, wzdłuż korytarzy balkony, osłonięte płótnem żaglowem, gdzie chore dzieci wygrzewają się w słońcu, a słabe na płuca w lecie sypiać mogą. Nowy dom ma światło elektryczne, wodę ciepłą na wszystkich piętrach, ogrzewanie centralne. Z biegiem czasu, aby się uniezależnić od defektów centralnego ogrzewania, postawiono na salach piece kaflowe, chroniąc tem samem dzieci od ewentualnego przeziębienia się. Ogółem może teraz pomieścić Zakład 150 dzieci.

Dzieła niepospolitego dokonały zatem ciche Siostry Miłosierdzia z swą niestrudzoną przełożoną S. Ireną Łuszczewską na czele. Nie ubyło im jednak trosk bo Zakład powiększony tem większych wymagał funduszy. I pomimo, że instytucja tak cenna cieszyła się dużem poparciem władz i społeczeństwa, bywały chwile bardzo ciężkie, i wtedy podtrzymywała Siostry na duchu jedynie niezłomna ufność w opiekę Bożą.

Po wykończeniu szpitala aktualną stała się sprawa fundacyj wieczystych na utrzymanie łóżeczek. Zapoczątkował je fundusz im. Lucjana Ludwika Chłapowskiego w wysoko-

ści 7.000 mk., których odsetki pokrywały całoroczne wydatki na utrzymanie jednego łóżeczka. Nad łóżeczkami umieszczono tablicę marmurową z nawiskiem zacnego fundatora. Niestety dzisiaj fundacje te po przewalutowaniu ich na złote polskie bardzo zeszczupłały, i dochód z nich absolutnie nie odpowiada intencjom fundatorów.

O niebywałej wziętości Szpitalika św. Józefa świadczą liczby leczonych dzieci zaraz w pierwszym roku po oddaniu do użytku publicznego nowego budynku. Mianowicie 902 dzieci leczono w klinice przez 43.360 dni, w poliklinice udzielono porad 5.734 dzieciom, ogółem przesunęło się przez Zakład 6.636 pacjentów. Przy tak olbrzymiej frekwencji okazały się wkrótce za szczupłe dotychczasowe pralnie i suszarnia, wobec czego przystąpiono w jesieni 1909 roku do budowy nowej obszernej pralni w ogrodzie, obok pawilonu dla szkarlatyny. Budynek wystawiono dwupiętrowy, wyzyskując go w ten sposób, że ubikacje dolne przenaczono dla gospodarstwa, a piętro drugie dla chorych dzieci na żarnice i pokrewne choroby zakaźne.

Rok 1910 zaznaczył się ponuro w dziejach Domu św. Józefa, zmarła bowiem po długiej chorobie przełożona zakładu, S. Irena Łuszczewska, która przez 51 lat przeszło wytrawną ręką i sercem gorącem sterowała jego nawą. Żywot jej to żywe świadectwo tego, czego jednostka silna duchem Bożym i pełna miłości bliźniego dokonać może.

Osieroconą placówkę św. Wincentego objęła w listopadzie roku 1910 S. Józefa Prądzyńska, piastując ten urząd przez lat 10. Dzięki energji S. Prądzyńskiej Zakład nietylko uporał się z długami zaciągniętemi na nowe budowle, których, jak widzieliśmy, było sporo, ale w roku 1912 dokupił gospodarstwo Łączny Młyn na Komandorji, obszaru 280 mrg. ziemi, spodziewając się mieć stamtąd zyski w postaci jarzyn świeżych, owoców i nabiału. I według wszelkich obliczeń ludzkich, z chwilą, kiedy ukończono na majątku konieczne inwestycje, tak powinno było się stać, tymczasem wybuchła wielka wojna europejska i w zbrodniczym swym szale nie ominęła nawet cichej przystani SS. Miłosierdzia, ofiarą padł właśnie ów Łączny Młyn, położony w rejonie fortecznym. Wskutek zarządzeń wojska większa część plonów, szczególniej jarzyn uległa zniszczeniu, w wielu miejscach nie można było nawet uprawiać roli pod siewy. Z czasem te zarządzenia cofnięto i dziś gospodarują Siostry na posiadłości swej formalnie, oczywiście bez zysków nadzwyczajnych, co wypływa z ogólnego kryzysu agrarnego.

Cofając się do chwili wybuchu wojny, zaznaczamy, że Siostry ofiarowały szpital swój dla rannych

żołnierzy, tymczasem w Poznaniu wybuchła epidemja szkarlatyny i powzięte wtedy ad hoc zarządzenia sanitarne skierowały wszystkie chore dzieci do Zakładu św. Józefa. Dzieci tych była taka ilość, że musiano stację dla chorób zakaźnych znacznie rozszerzyć. Epidemja powtórzyła się w roku następnym, tak, że ogółem leczono w tym okresie 306 dzieci na szkarlatynę i 287 na dyfterję. Jednocześnie przybywa także dzieci potrzebujących porady, lekarstw, dobrego odżywienia, bo wojna nietylko przecinała brutalnie pasmo młodego życia żołnierza, ale godziła także w ludność cywilną, a szczególniej starców i dzieci. A tu kiedy tyle biedy ręce do zakładu wyciągało, dobrodziejów ubywało z dniem każdym, bo niestety w całym świecie nastąpił taki przewrot ekonomiczny i społeczny, że niejeden co wczoraj hojną miał rękę, dziś poczuł się nagle biedakiem. Siostrom nie opadły jednak ręce i zawdzięczając tylko ich nadludzkiej pracy i ekonomicznemu szafarstwu, Zakład przetrwał wszystkie ciężkie chwile a nawet w roku 1919 urządził stację obserwacyjną dla wątpliwych lub niedostatecznie rozpoznanych chorób zakaźnych i laboratorjum, gdzie stale oddaje się badaniom bakterjologicznym siostra-laborantka.

Niesłychanie wzrosła także w ostatnich latach liczba kobiet niedołężnych, pozostających pod opieką zakładu, wobec czego domek przez nie zajmowany okazał się dużo za mały. A ponieważ o nowej budowli nie można było myśleć, dokupiono w r. 1919 od pp. Krugów dużą kamienicę, siąsiadującą z zabudowaniami i ogrodem zakładowym, w tej myśli, że dom ten będzie można urządzić na przytulisko dla tak zwanych „babek". Niestety dom ten można było opróżnić tylko częściowo, przez co umieszczono tam kilkanaście pań-emerytek i kandydatek na zakonnice w liczbie około 30. Innych lokatorów chroni dotąd ustawa mieszkaniowa i nie prędko pewnie będzie można ich usunąć, a tymczasem stary dom „babek" grozi już ruiną. Zatem kamienica, na którą dług zaciągnąć trzeba było, nie przynosząca Zakładowi żadnych zysków materjalnych i nie służąca celowi, dla którego została nabyta, sprawia dziś Zgromadzeniu niemało kłopotu. Należy jednak mieć nadzieję, że władze nasze, opiekujące się chętnie Zakładem św. Józefa, znajdą jakikolwiek sposób rozwiązania zawiłego problemu, a wówczas dom ten, jak wiele innych pozostających w administracji SS. Miłosierdzia, służyć będzie jak najlepiej dziełom dobroczynnym. Pod koniec dziejów Zakładu św. Józefa należy wspomnieć jeszcze o Siostrach Przełożonych, które z zaparciem się siebie prowadzą Zakład w obecnych ciężkich czasach.

W roku 1920 umiera S. Prądzyńska, później sprawuje rządy przez rok jeden S. Bilitewska, a od roku 1921 zarządza Zakładem obecna przełożona S. Aniela Grochowska. Z ramienia Tow. „Opieki Szpitalnej dla dzieci“, zajmuje się sprawami Zakładu Kuratorjum, złożone z 3 osób. Na czele ich stoi obecnie ks. dziekan Mayer. Do roku 1919 wydawało stowarzyszenie rok rocznie obszerne sprawozdanie, dzisiaj dla braku funduszy zwyczaju tego zaniechano.

Przez długi szereg lat przyjmował Zakład chore dzieci zupełnie bezpłatnie, ograniczając się w pewnych wypadkach do datków dobrowolnych, obecnie zmuszony warunkami, przyjmuje dzieci za opłatą, którą uskuteczniają Kasy Chorych, Magistrat, rodzice. Są jednak i takie dzieci, za które nikt nigdy nie płaci. Zważywszy jak stosunkowo niskie są te dochody, a jak wielką jest obecnie drożyzna, dochodzimy do wniosku, że Zakład św. Józefa stoi Opieką Bożą, pracą i skrzętnością zasłużonego wielce Zgromadzenia SS. Miłosierdzia. R.

Dom Dzieci.

Gdy dziś utrudnione są podróże zagranicę, przez które możnaby się zapoznać na miejscu z wybitniejszemi urządzeniami z zakresu opieki społecznej, mającej za sobą na Zachodzie lata dłuższej niż u nas praktyki i doświadczenia, trzeba chociaż z pism zagranicznych zbierać o nich wiadomości, i w ten sposób, co nam się dobrem wyda, przeszczepiać na grunt ojczysty.

W wychodzącym w Brukseli miesięczniku „La Femme Belge“, poświęconym zagadnieniom kobiecym, znajdujemy obszerny opis „D o m u D z i e c i“, któremu warto poświęcić nieco uwagi. Ścisłość i wiarogodność zawartych w nim szczegółów gwarantuje fakt, że jest to sprawozdanie wychowanki katolickiej Szkoły Społecznej, złożone centralnemu jury belgijskich Szkół służby społecznej. Spędziła ona czas dłuższy w tym Domu, stosownie do programu Szkoły, przepisującego uczennicom swym praktykę w odpowiednich instytucjach społecznych dla przerobienia i zastosowania zdobytych przez wykłady wiadomości.

D o m D z i e c i jest to instytucja zupełnie prywatna, utworzona w Anderghem[1]) w r. 1914 przez dwie filantropki dla dzieci osieroconych lub też opuszczonych i zaniedbanych bądź moralnie, bądź materjalnie. Fundatorki oddały się cał-

[1]) Anderghem, miasteczko w zachodniej Flandrji w pobliżu Bruges.

kowicie dziełu wychowania dzieci, one prowdazą ten Dom osobiście i ponoszą wszelkie koszta.

Dom obliczony jest na mniej więcej 30 dziewczynek. O ile jest miejsce, przyjmuje się każdą poniżej lat 10-ciu, którą tu przyprowadzą, lub o której dyrekcją powiadomią. Specjalnych warunków przyjęcia niema, jednakże wszystkie dzieci poddaje się rewizji lekarskiej i nie zatrzymuje się tych, u których skonstatowano chorobę zaraźliwą.

W czasie praktyki referentki Dom Dzieci mieścił 31 dziewczynek w wieku od 3 do 19 r. życia, w tem 14 sierot zupełnych, 5 nie mających matki i 12 dzieci nielegalnych i opuszczonych — z jednym jedynym wyjątkiem — przez matki.

Z jakich środowisk pochodziły te biedactwa i jakie okoliczności je tu przywiodły? Posłuchajmy zapisków referentki:

Maleńka X. z Mons — dziecko nielegalne. Matka kilkakrotnie próbowała jej się pozbyć, (udusić poduszką i t. p.) wreszcie odjechała do Paryża, zostawiając dziecko matce swej, choć tamta nie miała z czego żyć. Małą zajęły się zakonnice i oddały do Domu Dzieci.

Y.... jako sześciotygodniowe niemowlę znaleziona została w kościele w Gandawie przez pewną panią, która, sama obarczona rodziną, nie mogąc dziecka zatrzymać, powierzyła je dyrekcji Domu.

Z... dziecko nielegalne. Oddane „na mamki", poniewierane i zaniedbane, całe dnie bez opieki, znaleziono pewnego wieczoru przygniecione przewróconem krzesłem, ze złamaną rączką i wgniecionemi żebrami. Zajęła się niem miejscowa dziedziczka i umieściła w Domu Dziecka.

Mała M...., przyjęta do Domu jako trzyletnie dziecko, ważyła 6 kg. 600 gr.; bardzo wątła, nie chodziła jeszcze i miała silny bronchit. Referentka zastała ją już w zupełnie normalnym stanie zdrowia.

N... trzyletnia — w chwili przyjęcia przedstawiała widok opłakany. Rączki i nóżki miała pokurczone, bez władzy. Powoli stan jej się polepszył i w 7-ym roku życia kalectwa nie było śladu. Zgłosił się po nią ojciec i musiała wrócić w warunki pod każdym względem niekorzystne — do matki na umyśle upośledzonej i ojca prowadzącego złe życie.

Ograniczamy się do tych kilku bolesnych obrazków. Widzimy z nich, że często dostają się do Domu dzieci bardzo maleńkie. Właśnie to jest charakterystyczne tutaj.

Dom Dzieci chętnie bierze bardzo młodziutkie kandydatki, aby je z gruntu wychować podług swoich zasad. Dyrektorki wolą dostać dzieci w ręce swoje, zanim je przepoją złe wpływy ich środowisk, często zepsutych zgnilizną mo-

ralną i fizyczną. Łatwiej wykorzeniać u małych wrodzone niedobre instynkty, niż zwalczać je u starszych, jeszcze pomnożone nabytemi wadami i usuwać ślady pierwotnego spaczonego wychowania, aby nie zaraziło współtowarzyszek. Zadanie to wymaga i łagodności wielkiej i tyleż stanowczości. Odczuwa się tu wyraźnie, jak przykrą dla wychowawczyń jest konieczność użycia niekiedy środków surowych. Ponieważ liczba dzieci jest ograniczona, łatwiej można poznać dobrze każde zosobna i kierować indywidualnie, zdając sobie sprawę z warunków, z jakich wyszły.

Dzieci są podzielone na grupy wedle wieku. Maleństwa spędzają cały dzień pod opieką „demoiselle", która bawiąc się z niemi i zajmując je wedle najlepszych metod pedagogiki przedszkolnej, rozwija ich instynkty i zdolności. W 6 roku życia zaczynają się uczyć systematycznie. Nauka jest rozłożona na 4 klasy, każda o 2 stopniach. Pierwsze trzy przechodzą w zakładzie pod kierunkiem dyplomowanych nauczycielek, czwartą klasę w szkole miejskiej przy ul. Archimedesa.

Program nauki ten sam, co w szkłoach rządowych. Od wczesnej młodości starają się kierowniczki rozwijać w wychowankach upodobania artystyczne, ucząc je początków modelowania, malarstwa, muzyki, aby w przyszłości umiały sobie same ozdobić i umilić własny kącik. Gdy skończą szkołę, obierają sobie zawód, jaki im odpowiada, lub, jeżeli mają po temu kwalifikacje, przechodzą na wyższe studja.

Biorą także kolejno czynny udział w pracach domowych i w ten sposób praktycznie poznają naukę gospodarstwa. Za czasów referentki:

1 z wychowanek kształciła się na nauczycielkę;
1 przechodziła kurs freblowski;
1 uczyła się kroju;
2 szycia;
1 była w Domu zajęta gospodarstwem.

Kierowniczki kładą wielką wagę na to, aby edukacja była jędrna i pełna prostoty, aby dziewczęta hartowała i ubezpieczała wobec trudności i ostrości życiowych. Atmosfera prawdziwie r o d z i n n a — w najlepszem tego słowa znaczeniu, przenika cały Dom. Założycielki chciały też fundacji swej nadać ducha i charakter d o m u r o d z i n n e g o, aby te nieszczęśliwe dzieci czuły się tu pod opieką taką, jaką miałyby u boku dobrych rodziców. Dla lepszego złudzenia, że znajdują się wśród swoich, dyrektorkom i nauczycielkom mówią „cicciu". I te dobre „ciocie" zastępują im miejsce rodziców: pielęgnują je od kołyski, wychowują, uczą, myślą o ich przyszłości. Wolno jednak krewnym odwiedzić je w każdą pierwszą niedzielę miesiąca.

Każde z maleństw ma swoją małą matusię, wybraną z grona starszych dziewcząt. „Matusia“ opiekuje się swoją córeczką przy ubieraniu, przy zabawie, bierze udział w jej wszystkich radościach, pociesza w tych wielkich smutkach, jakie miewają dzieci — niby najmilsza starsza siostrzyczka. Do drugiego roku życia dzieci są pod bezpośrednią opieką fundatorek zakładu. Nad zdrowiem dozór ma bardzo staranny i oddany „Domowi“ lekarz. Nigdzie nie widać surowego, oschłego rygoru, dzieci mają dużo swobody, co sprzyja bardzo ich rozwojowi. Wyrastają też z nich kobiety szczere, śmiałe i pełne inicjatywy.

Dom, w którym mieści się ta wielka, a tak sympatyczna rodzina, stoi w dzielnicy cichej, zdrowej, w pobliżu lasu, Dom jest duży, trzypiętrowy o dachu płaskim, zamienionym w taras, obwiedziony żelazną balustradą.

Parter obejmuje obok hall'u refektarz, salę do zajęć i garderobę. Refektarz jest ogromny o trzech dużych oknach. Stoliki białe, zgrabne, rozstawione z gustem, dużo wszędzie kwiatów, słowem jasno, wesoło, przytulnie. Potrawy z kuchni, położonej w suterenach, transportowane są wprost do refektarza dźwigiem. Są tu także dwa fortepiany, gdyż refektarz służy i za jadalnię i za salon zarazem. Sala zajęć, czy uczelnia zdobna jest w duże stoły. Tę uczelnię można z łatwością zmienić w bawialnię w razach, gdy dla niepogody nie można bawić się na dworze. Obok jest mały pokoik, w którym jest apteczka domowa i wszystko, czego potrzeba, aby opatrzeć chore czy skaleczone dziecko.

W garderobie każda dziewczynka ma swoją przegródkę i powieszadło. Tu chowa się narzędzia ogrodowe, przybory do gier, tu jest także umywalnia i wygódka. Przez garderobę i salę zajęć wychodzi się na taras i stamtąd do ogrodu. Na tarasie tym, (drugi jest na dachu) gdy mokro w ogrodzie, dosyć jest miejsca na zabawę. W głębi hall'u są schody, wiodące na piętro do kancelarji i do pokoji dyrektorek. Obok nich, pod ich bezpośrednim dozorem ulokowana jest sypialnia najmniejszych — jasna i przestronna, dalej umywalnia, łazienki etc.

Na drugiem piętrze jest kaplica, „dortoir“ starszych i dwie sale szkolne.

Na trzeciem są pokoje nauczycielek, ubikacja mieszcząca bieliznę domową i osobistą bieliznę dzieci w osobnych schowankach, oraz szwalnia, gdzie szyje się i naprawia odzież wychowanek. Dach, jak już wspomniano, zamieniony jest na taras. Tam dużo przebywają dzieci, gdy pogoda sprzyja. Bawią się tam, spożywają podwieczorek, a nawet lekcje odbywają się tamże.

W suterenach oprócz kuchni mieści się pralnia i piwnica. Ogród jest całkowicie przeznaczony dla dzieci, które tu wylegają z radością na rekreacje. Drzewa rozłożyste chronią je od zbytnich upałów. W głębi ogrodu jest weranda z leżakami, gdzie dzieci odpoczywają po obiedzie i gdzie używać mogą kuracji powietrznej.

* * *

Przypatrzmy się teraz, jak mieszkanki tego miłego Domu spędzają tu dzień cały.

Jest godzina 6,30 „Demoiselles" przychodzą budzić dzieci. Małe wstają żwawo, biorą skarpetki i sandałki i biegną do umywalni. „Matusie" obiegają swoje „córeczki" a „demoiselles zajmują się maleństwami. Sprzątnąwszy od mycia, dzieci ubierają się w mundurki zaprowadzone w zakładzie. Strój to wesoły i wdzięczny, choć bardzo prosty: sandałki żółte, sukienka granatowa wycięta i bez rękawów, wkładana na bluzeczkę innego koloru, jasno niebieską lub czerwoną, lekką w lecie a flanelową w zimie. Ubrane wracają do dortoiru, ścielą łóżeczka. Każda stara się to zrobić jak najpiękniej. Małe wyciągają i naciągają prześcieradełka i kołderki, jak tylko się da.

O 7-mej jest Msza św. w kaplicy. Zbiera się cały personał; z dzieci te, które są już dosyć duże, aby się mogły zachować odpowiednio. Malcy zostają w bawialni z jedną z „dużych" lub z nauczycielką.

Jak tylko skończy się nabożeństwo, dziewczynka wyznaczona jako dyżurna, spieszy przysposobić do śniadania, aby stoliczki były gotowe na 8. Do śniadania dzieci biorą fartuszki, zastosowane także do umundurowania. Przy każdym stoliku siada sześcioro dzieci i jedna „demoiselle". Dla malców jest mleko, dla starszych kawa z mlekiem, do tego chleb z masłem i konfitury. Jedzą z apetytem, szczebiocąc z takiem ożywieniem, że aż je czasem trzeba mitygować.

Po śniadaniu „duże" wychodzą do miasta na lekcje lub do innych zajęć. Reszta ma półgodziny rekreacji z wyjątkiem tych kilku, do których z kolei należy sprzątanie ze stołu, ścieranie kurzu, obieranie jarzyn i t. p. sprawy gospodarskie.

Od 9—10 nauka, poczem rekreacja: najprzód ćwiczenia oddechowe i trochę gimnastyki, potem swobodna zabawa półgodziny i znów dalsza nauka do 11,45. Następnie dzieci idą się umyć i udają się do refektarza. Nakrycie stołu uskutecznia dziewczynka dyżurna.

Obiad jest prosty, dobry i pożywny. zupa, mięso, jarzyna, kartofle, chleb, woda i raz po raz deser. Przy stole jest wesoło. „Ciocie" jedzą razem z dziećmi i uważają na ich zachowanie się.

Po skończonym obiedzie wyznaczone dziewczynki zmywają naczynia, najmniejsze idą na poobiednią siestę, reszta zajęta jest równie — wedle upodobania szyją, czytają, haftują. Lekcje zaczynają się o 2,30 i trwają do 6,30, przegrodzone rekreacją o 4, podczas której dzieci dostają chleb z masłem i kubek gogurtu. (Preparat mleczny na grzybkach służący do dożywiania.)

O 6,30 schodzą się wszystkie. „Duże" wracają z miasta, witane przez malców okrzykami radości. Miło uderza to przywiązanie i harmonja, jaka panuje między tą całą gromadką.

Do 7-mej wspólna zabawa, potem mycie rąk i kolacja. Na kolację często nabiał, kasza owsiana, ryż i t. p. — także dla malców fosfatyna. Po kolacji pacierz wieczorny w kaplicy, małe idą do łazienki, potem do łóżeczka, kładą je „matusie" i „demoiselles".

Tymczasem „duże", dyżurne, zmywają, sprzątają w refektarzu, inne odrabiają zadania, grają lub szyją przy głośnem czytaniu.

O 9,30 natrysk w łazience — o 10 wszystkie są w łóżku. Każda jest zmęczona — po pracowicie przebytym dniu, usypiają też szybko, i dom wprędce zalega głęboka cisza.

W popołudnia czwartkowe, w niedzielę i w dni wolne urządza się wielkie wyprawy do lasu. Gdy pogoda nie dopisuje, bawią się w refektarzu i w sali zajęć, gdzie mają zabawki różne, otrzymane na św. Mikołaja i na gwiazdkę. Kierowniczki pilnie obserwują tradycje tych świąt dziecięcych, wówczas odbywają się różne piękne zabawy i każde dziecko otrzymuje jakiś podarunek.

Cały ten mały światek pracuje też ochoczo i stara się zadowolnić dobre „ciocie". Wakacje przynoszą za to nielada nagrodę: jadą nad morze! Dobre „ciocie" o wszystkiem myślą. W Wenduyne[1]) posiadają dom własny, dzieci mogą więc kilka tygodni oddychać ożywczem morskiem powietrzem.

Gdy mowa jest o wyjeździe nad morze, twarzyczki wszystkie rozjaśniają się, oczy promienieją. Już w myśli widzą się igrające na wybrzeżu i wśród wydm!

* * *

Można sobie wystawić, ile zapału, niezmordowanej pracy i poświęcenia wkładają fundatorki w to ukochane dzieło swoje, że ono tak dobrze prosperuje. Małe mieszkanki „Domu" otoczone są tu miłością prawdziwie macierzyńską i zażywają jak najstaranniejszej opieki. Idea przewodnia

---

[1]) Miejscowość kąpielowa między Blankenberghe a Middelkerke.

„Domu“ streszcza się w dwóch słowach: życie rodzinne. Wydaje się to niezmiernie trudne do zrealizowania w zakładzie, a jednak udało się tutaj pokonać trudności, z których największą było wydobycie pożądanej sumy dobra z elementów tak różnorodnych i po części już skażonych.

Rezultat dotychczasowy jest tak zachęcający, że projektowanem jest rozszerzenie zakładu, a mianowicie dołączenie żłóbka — ochronki, gdzie możnaby większą ilość dzieci pomieścić. Ma być także założony home dla panien dorosłych, pracujących już samodzielnie, a nie mających rodziny.

Referentka dodaje, że w interesie ogólnego dobra pożądanem jest rychłe urzeczywistnienie się tych planów. — Nie ma ona słów dość gorących dla zobrazowania, jakiem dobrodziejstwem staje się ten zakład dla raz przyjętych dzieci. Szczęściem jest samo dostanie się w mury Domu, a cóż dopiero mówić o błogosławionych skutkach pobytu w takich dobroczynnych warunkach. Dzieci przychodzą przeważnie wątłe, wynędzniałe, słabowite, ale dzięki starannej opiece, znakomitej higjenie i dobremu odżywianiu szybko dokonuje się zupełna odmiana i prawdziwie miło patrzeć, gdy wszystkie są zebrane, jak ze wszystkich tryska życie i zdrowie. Na wychowanie fizyczne kładzie się tu wielki nacisk, nie mniej wszakże dba się i o stronę moralną, wychowanie religijne, a także i estetyczne. Ten jędrny i zdrowy kierunek, przeniknięty na wskroś duchem rodzinnym, uodpornia zawczasu wychowanki wobec trudności znachodzących się w każdem życiu i wpaja w nie także, obok poszanowania dla władzy, poczucie koleżeńskości, wzajemnej życzliwości i uczynności. Tak jak dzieci w zgodnej, kochającej się rodzinie, wychowanki Domu pomagają sobie nawzajem ochoczo i serdecznie: „duże“ dbają o malców, a tamte garną się po wszystko do nich z całą szczerością i prostotą, jakby do rodzonych sióstr starszych.

Rozwój umysłowy postępuje także bardzo szybko, mimo że dziewczynki pochodza ze środowisk pod względem intelektu bardzo różnych. Ciagłe przebywanie z nauczycielkami, które pospołu z niemi ich życiem żyją, oddziaływuje bardzo korzystnie. Nauczycielki dzięki temu ścisłemu współżyciu odnajdują łatwo drogę właściwą do serca i umysłu każdego z dzieci i uczą się wyzwalać z nich maximum sił i zdolności. Gdy wstepują potem do szkół zawodowych, kierowniczki zakładu nie szczedzą żadnych ofiar, ni starań dla zapewnienia im przygotowania jak najsumienniejszego, aby, opuszczając Dom, były istotnie w możności zapracować uczciwie na życie.

* * *

Referentka, jak już wspomnieliśmy, jest osobiście zachwycona takim systemem opieki nad sierotami. Zaznacza wszakże, że dużo zwolenników ma system lokowania sierót po rodzinach. Choć myśl sama wydaje jej się dobra, wskazuje jednak słusznie na wielką trudność wyszukania odpowiednich środowisk, któreby nasamprzód chciały dzieci przyjąć, a po drugie były zdolne pokierować wychowaniem moralnem i fizycznem powierzonych sobie sierot. Przytem kwestja kontroli nad takiemi rodzinami wychowującemi jest niełatwą do rozwiązania.

Dużo dobrych stron wykazują także znane i u nas t. zw. gniazda sieroce. Jest tu jednak jeden szkopuł: oto dzieci, ponieważ rozmieszcza się je tu zazwyczaj podług wieku, zażywają wprawdzie życia rodzinnego, ale żyją w rodzinie, w której wszystkie dzieci sa prawie różnego wieku, co nie odpowiada rzeczywistości.

Następnie, gdy dzieci, przesuwane stosownie do wieku, kilkakrotnie zmieniają gniazdo, nie da się ominąć zmiana kierownictwa, na czem jednolitość pracy wychowawczej traci.

Życie w sierocińcach musi z natury rzeczy dawać mniej korzystne wyniki. Już sama mnogość dzieci rozwiewa złudzenie rodziny. Rygor, ściśle przestrzegany i konieczny dla utrzymania porządku, odbiera dziecku osobistą inicjatywę i też mniej nabierają tu uodpornienia do walki z życiem.

Referentka widzi i gorąco podnosi wyższość opisanej przez siebie instytucji, zastrzega się jednak, że daleka jest od żądania, aby wszystkie istniejące zakłady przemieniono wedle wskaznego typu. Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, jak trudno o tak doskonałą administrację i takie wyjątkowe poświęcenie i całkowite oddanie się sprawie.

Oby inicjatywa prywatna, czy rządowa zużyła u nas doświadczenia zacnych filantropek z Anderghem. Żywimy nadzieję, że w naszych nowo tworzących się szkołach społecznych urobią się niezadługo siły odpowiednie, a serc gorących i poświęcających się nie zabraknie w Polsce.

Poznań. R. E.

Z współczesnych dziejów „Stelli“.

W przedmowie do sprawozdania rocznego „Stelli“, Tow. Kolonij Wakacyjnych i Stacyj Sanitarnych w Poznaniu, za rok 1925 — nazwał p. Czesław Kędzierski „Stellę“ instytucją „dobrego czynu“. Wertując dalsze stronnice książeczki, naj-

sceptyczniej nawet usposobiony czytelnik przyznać musi, że „Stella" na nazwę tę zasługuje w zupełności.

W ostatnim roku sprawozdawczym działalność jej rozszerzyła się najmniej dwukrotnie, pomimo, że przeżywamy okres stagnacji gospodarczej i z racji tej dobroczynność ludzka straciła mocno na rozmachu, z drugiej strony rozdrobniło się na tysiące potrzeb palących, nieodzownych, dobrych! Dawniej obejmowała „Stella" skrzydłami swemi matczynemi wyłącznie tylko dzieci bardzo biedne, za które nikt nigdy nie płacił, dziś zmuszona warunkami, przyjmuje również dzieci, których pobyt opłacają rodzice lub instytucje publiczne. Bowiem poważne ongiś „fundusze żelazne", dziś przewalutowane na polskie złote, żadnej prawie roli nie odgrywają w dochodach „Stelli". Jeśli jednak „Stella" przyjmuje dzieci również za opłatą, nie znaczy to bynajmniej, aby wobec najbiedniejszych zachowywała się z rezerwą. Nie, przedewszystkiem uwzględnia się bowiem dzieci znikąd żadnej pomocy nie mające, a więc sieroty, dzieci wdów, inwalidów wojennych, zubożałej inteligencji, bezrobotnych. Szczególną troskliwością otacza się te dzieci, które lekarze uznali jako bardzo wycieńczone i wysyła się je na kurację solankową do Inowrocławia lub kąpieli morskich w Gdyni.

Podnieść należy wielką życzliwość władz wojewódzkich i miejskich dla „Stelli", a także stanowisko przychylne Kuratorjum Okręgu Szkolnego Poznańskiego, która to instytucja oddała na czas wielkich wakacyj do dyspozycji „Stelli" liczne gmachy seminaryjne, gdzie rozlokowano większe kolonje dzieci. Dość powiedzieć, że ilość kolonij wzrosła z siedmiu na czternaście. Ogółem wysłano na wieś i do kąpieli z Poznania i prowincji 1.033 dzieci. Przeważnie umieszczano dzieci w dwóch partjach i to: w Kobylnicy 469 dzieci, w Lublinie 43, w Gorazdowie 22, w Zielęcinie 30, w Zaniemyślu u SS. Służebniczek 23, w Inowrocławiu 85, w Gdyni 86, w kolonji subsydjowanej przez powiat wągrowiecki 47, w kolonjach utrzymywanych sumptem Ziemianek w Wągrówcu, Gostyniu, Koźminie, Mielżynie, Śremie 143 i 55 dzieci w domach prywatnych na wsi. Wśród dzieci wysłanych na wakacje było 90 sierot, 192 dzieci wdów, 43 dzieci inwalidów, 199 dzieci bezrobotnych, 291 dzieci robotników, 193 dzieci rzemieślników, 103 dzieci urzędników i reszta bez określonego bliżej zawodu rodziców. Z zestawienia tego wynika jasno, że „Stella" ani o krok nie odstąpiła od raz wytkniętego celu i rządzi się zawsze bezwzględną sprawiedliwością w wyborze dzieci. Miasto Poznań płaciło za utrzymanie 386 dzieci, Środa za 11.

Przed wyjazdem dzieci udzielono rodzicom i dzieciom w Miejskiej Centralnej Sali Gimnastycznej stosownych wyjaśnień i uwag, rozdzielono pewną ilość broszurek: „Zasady kulturalnych form towarzyskich" oraz najuboższym darowano kilkadziesiąt sienników, prześcieradeł i powłoczek. W wszystkich skupinach pozostawały dzieci pod umiejętną i troskliwą opieką nauczycieli i seminarzystów, którzy zobowiązani byli wysyłać także raporty do zarządu „Stelli". Prócz tego odbyto z ramienia zarządu szereg wizytacyj w kolonjach. Wszędzie przybierały dzieci na wadze, zyskiwały na ogładzie zewnętrznej i gruntowały w sobie zasady religijno-etyczne.

W Kobylnicy obowiązywał następujący porządek dzienny, który jest miarodajny dla innych kolonij:

Godz.	7½:	dzieci wstają, ubierają się, mówią wspólnie pacierz, względnie idą do kościoła.
„	8 — 8½:	pierwsze śniadanie złożone z kawy, chleba lub bułeczki.
„	8½—10½:	zabawy w ogrodzie.
„	10½—11:	drugie śniadanie: mleko, kakao lub zupa.
„	11 —12:	naprawa ubranek, pisanie listów.
„	12 —13:	obiad, składający się z rosołu z dodatkiem mięsa pieczonego z ziemniakami i jarzyną — dwa razy tygodniowo kompot.
„	13 —14½:	spoczynek.
„	14½—15½:	czytanie, pogadanki, powiastki, bajki, deklamacje.
„	15½—16:	podwieczorek: kawa, bułki i chleb.
„	16 —19:	przechadzka do lasu lub w okolicę, w dni upalne kąpiel.
„	19 —20:	kolacja: zupa i chleb, niekiedy ogórki kiszone lub pomidory. W niedzielę herbata i chleb obłożony wędliną.
„	20 —21½:	śpiew ogólny lub dowolny.
„	20½:	modlitwa wieczorna.
„	21:	dzieci udają się na spoczynek.

Zachowanie dzieci naogół było dobre, a nawet w pewnych wypadkach zanotowano znaczny postęp na lepsze. Z Kobylnicy wydalić musiano tylko 9 dzieci, co przy ogromnej ilości dzieci, jest procentem dość nikłym. Kilkanaście zbyt przeczulonych dzieci wróciło wcześniej do domu „z tęsknoty". W wszystkich kolonjach odnosili się mieszkańcy z wielką życzliwością do dzieci, a organizacja napotykała naogół na ułatwienia ze strony władz i miejscowych stowarzyszeń społecznych.

W Poznaniu działały dodatnio półkolonje miejskie, których wartość wychowawcza jest bardzo wysoka. Utworzono 2 korpusy chłopców i 4 oddziały dziewcząt, razem zbierało się 225 dzieci. Rano po wysłuchaniu mszy św. i rozdzieleniu bufetowego śniadania, dzieci wyruszały pod przewodnictwem nauczycieli za miasto lub na boisko Sokoła, często zażywały kąpieli i raz po raz słuchały interesujących pogadanek swoich przewodników.

Pomiędzy pierwszą a drugą godziną z pochodem mali wycieczkowicze wracali do miasta, gdzie obdzielano ich powtórnie mlekiem, kakao lub limonjadą. Na zakończenie wycieczek pozamiejskich urządzano wesołą zabawę w Miasteczku, w której uczestniczyło również sto kilkadziesiąt dzieci optantów polskich z Niemiec.

Tradycyjnym zwyczajem obdarzono w ochronce św. Józefa 200 dzieci gwiazdką.

Przechodząc do działu Stacyj Sanitarnych w Kobylnicy, administrowanego przez Wydział Opiekuńczy z ks. Czartoryską na czele, zaznaczamy, że placówka ta w ciągu roku obchodziła dwa duże święta: pierwsze — to oddanie osobnym aktem intronizacyjnym Stacji opiece Najsłodszego Serca Jezusowego i poświęcenie nowo pobudowanego budynku gospodarczego i osady nabytej w Gruszczynie — druga 29-go listopada, to ćwierćwiekowa rocznica pierwszego posiedzenia Komitetu Opieki Stacji Sanitarnej, obecnego Wydziału Opiekuńczego Stacyj Sanitarnych „Stelli". Od listopada 1925 r. odprawiają się w kaplicy zakładowej miesięczne nabożeństwa, których wysłuchują nietylko mieszkańcy zakładu, ale napływają także liczni wierni z okolicy.

Dzieci przesunęło się przez zakład w ciągu roku 60, z tych umieściła Deputacja Ubogich m. Poznania 49, „Stella" 9, Kasa Chorych 1, a za jedno dziecko płacili rodzice. Przeciętnie przybrały dzieci na wadze 4½ funta, były jednak takie, które przytyły po 9, 12 i 13 funtów. Obecny zarząd „Stelli" składa się z prezesa Józefa Winiewicza, współzałożyciela Tow. Kolonij Letnich, wiceprezesa Jana Suchowiaka, wielce zasłużonego około rozwoju „Stelli", sekretarza Józefa Nowickiego, jego zastępcy ks. Laskowskiego i skarbnika Bolesława Ziętkiewicza, który na tym samym posterunku trwa od lat 30. Prócz nich należy do zarządu 13 zasłużonych i światłych obywateli. Biuro „Stelli" znajduje się w gmachu Miejskiej Centralnej Sali Gimnastyki przy Zielonych Ogródkach.

Zbliżają się obecnie wakacje letnie, w „Stelli" praca wre gorączkowo, napływają licznie zgłoszenia biednych, miejskich dzieci. Oby tylko „Stella" wszystkie przyjąć mogła! Zależeć to będzie od społeczeństwa! R.

U naszego zachodniego sąsiada.

Nie bez trudności udało się piszącemu niniejsze uwagi wziąć udział w tegorocznym zjeździe, 27-ym z rzędu, katolickiej organizacji charytatywnej w Niemczech, noszącej nazwę: „Deutscher Caritasverband". Pomijając trudności paszportowe, nad stosunkami polsko-niemieckiemi górują powikłania natury politycznej przedewszystkiem, mające swoje źródło w nader przykrych wspomnieniach historycznych oraz połowicznych postanowieniach Traktatu Wersalskiego. Obok tychże spraw są jednak inne nader ważne kwestje, w Niemczech doskonale rozwinięte; bliższe zaznajomienie się z niemi nie może przynieść szkody naszemu krajowi, szukającemu nowych dróg niemal w każdej dziedzinie życia. Niemcy doznają słusznej sławy, że są doskonałymi organizatorami. Zaleta ta uwydatnia się nietylko w ustroju i życiu państwowem, lecz także w organizacjach o charakterze społecznym i prywatnym. Odnosi się to w równej mierze do życia katolickiego w Niemczech. Południowe, przedewszystkiem zaś Zachodnie Niemcy są obecnie klasycznym krajem nowoczesnych metod duszpasterskich oraz katolickiej pracy społecznej. I chociaż pod względem inwencji oraz tworzenia wielkich idei wyprzedzają je inne narody, to jednak w wykonaniu i praktycznem zastosowaniu nowych poglądów nie pozwalają się łatwo prześcignąć.

„Deutscher Caritasverband", jako zespolenie wszelkich katolickich organizacyj charytatywnych w Niemczech, spogląda już na długoletnią działalność. Powstał bowiem w r. 1897 za inicjatywą zmarłego przed pięciu laty ks. prałata Werthmanna. Od chwili założenia odbywają się corocznie — z wyjątkiem niektórych lat wojennych — wielkie zjazdy charytatywne. Mają one spełnić następujące zadania.

Wedle zasad katolickich stanowi cała ludzkość jedną wielką rodzinę, zjednoczoną w Bogu i przez Boga. Rodzina ta powinna się wspierać, spełniając tem samem wielkie posłannictwo Boże, któremu na imię miłość bliźniego. Wykonywanie uczynków, biorących początek z miłości bliźniego, staje się jedynie możliwem przy równoczesnem pokonywaniu siebie samego, miłości własnej, przywiązania do dóbr i bogactw doczesnych. Obowiązek ten mają od czasu do czasu przypominać zjadzy charytatywne, mają ujawniać wolę i postanowienie czynienia dobrze jako jednej z najprzedniejszych powinności życia katolickiego.

Zjazdy mają także łączyć i gromadzić wszystkich pracowników na polu charytatywnem. Praca ta dokonuje się na bardzo licznych i przeróżnych placówkach. Jedni są czynni w zakładach opieki zamkniętej, inni spełniają opiekę otwartą,

inni starają się ulżyć nędzy materjalnej, inni wreszcie pracują nad podźwignięciem moralnem i duchowem osób zaniedbanych i podupadłych. Wszyscy zaś ostatecznie jednej służą idei, gdyż z miłości Bożej czerpią zapał do pracy, a poświęcenie swoje, czas i siłę oddają na usługi cierpiącej ludzkości. To też słuszną jest rzeczą, aby wszyscy spotkali się choćby raz w roku, celem poznania się bliższego, celem wymiany zdań i doświadczeń.

Wreszcie mają zjazdy torować drogę nowym poglądom oraz metodom pracy. I najpiękniejsza idea zginie, skoro jej się nie rozgłosi, nie poda do świadomości szerszego ogółu. Na zjazdach spotykają się wodzowie ruchu; oni przez narady i wymianę zdań dążą do udoskonalenia całego ruchu.

Powyższym celom służył także tegoroczny zjazd charytatywny, który odbył się w tygodniu po Zielonych Świątkach, t. j. od 25-go do 29 maja w Trewirze. Zjazdy odbywają się rok rocznie w tymże tygodniu, ponieważ uroczystość Zielon. Świątek, uroczystość Ducha św., jako tej Osoby w Trójcy Przenajświętszej, która kieruje dziejami dusz ludzkich przez miłość, najwięcej zdolna jest przypomnieć osobom pracującym na polu charytatywnem ich obowiązek poświęcania się dla bliźnich. Trewir zaś jest najstarszem miastem w Niemczech. Na wstępie do miasta sterczy sławna na cały świat „Porta nigra", Czarna Brama, wzniesiona za czasów rzymskich. Przypomina ona najstarsze dzieje kultury w Europie, przypomina także najstarsze dzieje katolicyzmu, bo w Trewirze, w czasie prześladowania chrześcijan, ci ostatni przelewali krew za Chrystusa i jego przykazanie miłości. Trewir jest też najstarszą stolicą biskpią w Niemczech, a dzisiaj jest środowiskiem najpiękniejszem życia katolickiego, skąd wzięły początek liczne zgromadzenia zakonne, których zadaniem jest pielęgnowanie chorych, wychowywanie sierot, opieka nad dziećmi małoletniemi, troska o dusze dziewcząt zagrożonych.

Czas i miejsce zjazdu przyczyniały się więc ogromnie do wytworzenia należytego nastroju, do nadania zjazdowi właściwego zrozumienia i przypomnienia prawd, na których opierać się powinna katolicka praca charytatywna.

Zasady te określił w swojem przemówieniu biskup trewirski. Najpierw daje wyraz, w jaki sposób biskup katolicki zapatruje się na pracę charytatywną. Skoro bowiem biskup otrzymuje święcenia biskupie, biskup konsekrujący pyta, czy zamierza być dobrotliwym i miłosiernym wobec ubogich oraz osób mających dolegliwości, na co odbierający sakrę daje odpowiedź potakującą. Tem się tłumaczy, dlaczego każdy biskup szczerze się raduje, skoro w mieście jego rezydencji

odbywa się zjazd charytatywny. Zastanawiając się nad przyczyną rozwoju niemieckiej organizacji charytatywnej, znajduje ją w słowach św. Jana: „Miłujmy się wzajemnie, bo miłość jest z Boga. I każdy co miłuje, z Boga jest urodzony i zna Boga". (I Jo., 4, 77). Przepiękne połączenie w jednej duszy poznania Boga, miłości Boga oraz miłości wzajemnej, jest najpewniejszem źródłem katolickiej „Caritas". Zrozumieli to dobrze przywódcy ruchu charytatywnego i tem się tłumaczy, że „Deutscher Caritasverband" zdobył sobie szacunek i poważanie u swoich i obcych. Rozwój jego dalszy uzależniony jest jednak od tego, czy całe społeczeństwo katolickie przejmie się wzniosłemi słowami św. Jana. Pole pracy jest bowiem olbrzymie, wciąż zachodzi jeszcze brak pracowników oraz środków pieniężnych. Każdy kapłan powinien być przewodnikiem, w myśli, słowach i czynach, władze wszelkiego rodzaju powinny współdziałać i współpracować, każdy katolik, bogaty czy ubogi, wykształcony czy niewykształcony, powinien przejąć się myślą wypowiedzianą w słowach św. Jana: „Chcemy miłować się wzajemnie, nie słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą" (I. Jo., 3, 18).

O poważaniu, jakiego doznaje w swojej ojczyźnie „Deutscher Caritasverband", świadczyła obecność na zjeździe przedstawicieli aż trzech ministerstw, t. j. niemieckich Ministerstw Pracy i Opieki Społecznej oraz Spraw Wewnętrznych jako też pruskiego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Ponadto byli przedstawiciele prowincji i samorządów.

Stosunek władz do „Deutscher Caritasverband" jest bardzo życzliwy. Po skończeniu wojny toczyła się w Niemczech pod względem zasad pracy charytatywnej bardzo zacięta walka. Kiedy bowiem w okresie rewolucyjnym kraje europejskie znalazły się pod silnym wpływem poglądów socjalistycznych, chciano je także zastosować w dziedzinie opieki społecznej. Chciano ją całkiem upaństwowić, wzgl. skomunalizować i wykazać, że dobroczynność prywatna jest rzeczą zbędną. Ponadto chciano z opieki społecznej wyłączyć wszelki czynnik wyznaniowości. Zamierzenia rządowe napotkały na niezwykle silny opór ze strony organizacyj charytatywnych, nietylko katolickich, lecz także protestanckich i żydowskich. Była to swego rodzaju, w małym zakresie podjęta walka kulturna. W tych warunkach ujawniła się w całej pełni potęga organizacji. Władze rządowe znalazły naprzeciw sobie nierozbite i drobne poczynania a silną armję, sprawną i świadomą celu. Obecnie jest sprawa przesądzona na korzyść dobroczynności prywatnej. Najnowsze ustawy z dziedziny opieki społecznej w Niemczech uznają

nietylko potrzebę, ale pewnego rodzaju równorzędność urzędowej opieki społecznej z dobroczynnością prywatną. Organy władz rządowych i samorządowych porozumiewają się z przedstawicielami dobroczynności prywatnej, wychodząc z słusznego założenia, że nędzy jest tak dużo, że dla wszystkich jest pracy poddostatkiem. Ponieważ zaś cała dobroczynność prywatna w Niemczech jest, poza socjalistyczną, zorganizowaną na zasadach wyznaniowych, dlatego i pod tym względem należy sprawę uważać za przesądzoną. Władze rządowe i samorządowe popierają dobroczynność prywatną bardzo wydatnie. Najpierw ustalono opłaty i określono je dość wysoko. Od dziecka umieszczonego w zakładzie płaci się 3—4 mk. dziennie. Wskutek tego siostry zakonne nie są narażone na żebranie, a dzieci doznają doskonałej opieki; na remont zakładów płyną duże subwencje rządowe i samorządowe, i to wyłącznie za pośrednictwem organizacyj charytatywnych, które, nawiasem wspominając, otrzymują również olbrzymie wprost zapomogi, co im umożliwia rozwinięcie bardzo rozgałęzionej i gruntownej pracy. Władze rządowe posługują się z wielką chęcią dobroczynnością prywatną, przez co unikają pracy drobiazgowej, a za najważniejsze zadanie uważają czuwanie, aby samorządy spełniały należycie swoje zadanie.

Udział duchowieństwa w zjeździe był ogromny, bo przekraczał liczbę 200. Ujawniało się wybitnie, że działalność blisko 30-letnia wydała piękne owoce. Wprawdzie należy stwierdzić, że w Niemczech działa aż 27 związków diecezjalnych; w każdym z nich jest 2 księży zajętych wyłącznie sprawami charytatywnemi, w archidiecezji kolońskiej zaś zwolniono aż 7 księży do pracy w „Caritas". Lecz obok tych kapłanów zajętych zawodowo w pracy charytatywnej przybyła wielka liczba kapłanów, mających głębokie zrozumienie dla potrzeb czasu.

Obok duchowieństwa zasiadają na sali obrad wielkie zastępy osób zakonnych, braci i sióstr. Brali oni żywy udział w dyskusji, bo praktyczną pracę spełniają przedewszystkiem zgromadzenia zakonne. Pierwotnie unikały one ściślejszej współpracy z „Deutscher Caritasverband". Skoro się jednak przekonały, że współpraca ta może im przysporzyć duże korzyści moralne i materjalne, biorą obecnie chętnie udział w wszystkich poczynaniach tejże organizacji i przyczyniają się do wytworzenia wielkiego i pięknego obozu dobroczynności katolickiej.

Przebieg zebrania był bardzo podniosłym a następnie obfitującym w treść poważną. Wstępną akademję urozmaicono śpiewami artystycznemi, nastrój zaś podnosiły prze-

mówienia przedstawicieli episkopatu, władz rządowych oraz przedstawicieli zagranicy, wreszcie bardzo płomienne przemówienie zasłużonej działaczki na polu pracy charytatywnej.

Obrady same odbywały się podobnie jak nasze zjazdy katolickie: były zebrania plenarne oraz zebrania sekcyjne. Z referatów przebijała myśl zasadnicza tego rodzaju, jakby należało zamienić pracę, do tej pory ratunkową, na zapobiegawczą. Zdawano sobie przecież sprawę, że skoro się uchroni liczne jednostki społeczeństwa od wpadnięcia w niedostatek lub nędzę moralną, nie będzie potrzeby ratowania ich. Dlatego też na czoło zagadnień charytatywnych wysuwają się kwestje walki z alkoholizmem, z chorobami nagminnemi oraz sprawy intensywnej opieki duszpasterskiej.

Na zebraniach sekcyjnych zaś ujawniała się cała gruntowność i ścisłość pracy. Już dawno porzucono tematy ogólnikowe, świadczące zwykle o niedostatecznem opanowaniu i pogłębieniu sprawy. Referenci, jako też obradujący wykazywali głęboką znajomość spraw przez siebie omawianych. Nietylko opanowywali literaturę wszechświatową danej dziedziny, lecz wykazywali zdolność tworzenia literatury własnej, rzucania nowych haseł, wskazywania nowych metod pracy.

Biorąc pod uwagę stosunki polskie, nie można przecież powiedzieć, jakoby zagadnienia charytatywne były nam obce i jakobyśmy nie dokonali poważnych wysiłków. Lecz prace nasze są jeszcze bardzo rozstrzelone, brak nam jednolitego programu i uzgodnionych środków pracy. Może indywidualizm polski jest temu na przeszkodzie, może też pewien pesymizm i brak wiary w rozwój organizacyj o charakterze społecznym. Ale zaczynamy! Po 30-letniej sumiennej pracy, tak sądzimy, będziemy mogli zapewne poszczycić się niemałemi rezultatami. Do tej pory pracownicy, obrabiający przepiękną glebę katolickiej „Caritas", jeszcze się nie znają, w stosunkach między nimi wiele jeszcze jest uprzedzeń i nieufności. Zapory te uda się niezawodnie przełamać. Skoro się zrozumiemy i połączymy duchowo, rozpocznie się i na ziemiach polskich zwycięski pochód katolickiej „Caritas".

Czcionkami Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu.

